

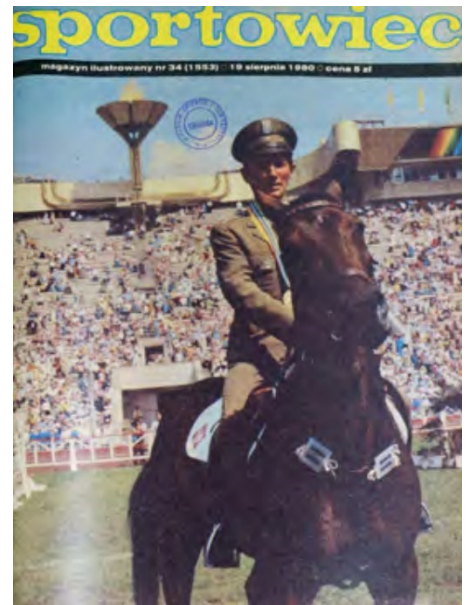
Słowo o Janie Kowalczyku

Piotr Banasiak

Na początku tego roku pan Marcin Kowalczyk przekazał do naszego Muzeum w depozyt złoty i srebrny medal olimpijski swojego ojca Jana. Stało się to w przededniu pierwszej rocznicy śmierci (24 lutego 2020 r.) tego najbardziej utytułowanego zawodnika w historii polskiego jeździectwa.

Jan Kowalczyk urodził się 18 grudnia 1941 r. we wsi Drogomyśl, położonej niespełna 20 km od Cieszyna. Konno zaczął jeździć w wieku ośmiu lat. Jego kariera nabrała dynamizmu, gdy znalazł się pod opiekuńczymi skrzydłami trenera Jana Mossakowskiego, wielokrotnego przedwojennego mistrza kraju, pracownika poznańskiego klubu jeździeckiego „Cwał”.

Już w wieku siedemnastu lat Kowalczyk zdobył tytuł Mistrza Polski we Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego. W 1960 r. odniósł swój pierwszy sukces międzynarodowy na zawodach w Moskwie.



Dokładnie dwadzieścia lat później - w tym samym mieście - na Igrzyskach XXII Olimpiady zdobył srebrny i złoty medal, osiągając w ten sposób absolutne wyżyny sportowych możliwości. Jego 36-letnia kariera obfitowała w wiele spektakularnych zwycięstw. Jan Kowalczyk był trzykrotnym olimpijczykiem (Meksyk 1968, Monachium 1972, Moskwa 1980). Wygrał 650 zawodów jeździeckich w konkurencjach skoków przez przeszkody i WKKW, 17 razy zdobywał tytuł mistrza kraju. W całej historii polskiego jeździectwa jest to sportowiec najwybitniejszy, stanowiący niedościgniony wzór dla kolejnych pokoleń zawodników.

Srebrna drużyna

29 lipca 1980 r. na Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie odbył się długo oczekiwany konkurs Pucharu Narodów w skokach przez przeszkody.

Gospodarze przygotowali w Parku Bitcewskim parcours o długości blisko 800 m. Zawody rozgrywano w systemie dwóch nawrotów - każdy z czterech zawodników drużyny powinien przejechać parcours dwukrotnie. Wynik dla zespołu ustalało się po dodaniu trzech najlepszych rezultatów. Polskę reprezentowali: Jan Kowalczyk („Legia” Warszawa), Marian Kozicki („Legia” Warszawa), Janusz Bobik („Dragon” Nowielice) i Wiesław Hartman („Nadwiślanin” Kwidzyń). Dzień przed startem okazało się, że Kobryń - koń Kozickiego - okulał. Zastąpił go rezerwowy Bremen, trenowany przez Bogdana Sas-Jaworskiego. Wydawało się, że pech, który towarzyszył polskim jeźdźcom na igrzyskach olimpijskich, będzie trwał dalej. Podziwiana na całym świecie klacz Kowalczyka, Drobnica, odmówiła współpracy w Meksyku. W Monachium w noc przed startem padł na serce inny koń Kowalczyka, Chandżar, a rezerwowa Jastarnia była źrebna. Jakby tego było mało, na kilka tygodni przed występem w Moskwie Kowalczyk spadł z konia i złamał obojczyk. Jego start na igrzyskach ważył się do ostatniej chwili. Na domiar złego jego Arte-mor, podczas treningów w Moskwie, zachowywał się bardzo nerwowo. Dopiero zmiana czerwonego ozdobnego fraka jeździeckiego na mundur wojskowy uspokoiła konia.

Te fatalne zbiegi okoliczności wpływały niezwykle deprymująco na polskich zawodników. Pierwszy nawrót konkursu wygrała zdecydowanie ekipa ZSRR (16 pkt. karnych) przed Polską (32 pkt. karne) i Meksykiem (39,5 pkt. karnych). W drugim decydującym nawrocie Norton zahaczył przeszkodę

i Hartman omal nie spadł z konia, czym pozbawiłby nas szans medalowych, kończąc występ z 12 pkt. karnymi.

Kowalczyk na Artemorze odnotował dwie zrzutki, o jedną więcej niż podczas pierwszego przejazdu, co dało 8 pkt. karnych. Kozicki, który jechał na rezerwowym Bremenie na pierwszym nawrocie odnotował najgorszy start w całej ekipie, zbierając aż 33 pkt. karne. W tej sytuacji nikt nie spodziewał się cudu. Tymczasem zawodnikowi stołecznej „Legii” udało się opanować konia i drugi przejazd ukończył tylko z 4 pkt. karnymi.

Ostatni wystartował Bobik na Szampanie, który jechał niezwykle nerwowo i miał aż sześć zrzutek. W tej sytuacji wiadomo było, że ekipa ZSRR zdobyła złoty medal. Na placu boju pozostali jeszcze znakomici jeźdźcy z Meksyku. Bezbłędny przejazd ostatniego zawodnika gwarantował tej drużynie srebro.

Jednak ta sztuka się nie udała. Jedna zrzutka zawodnika zza oceanu sprawiła, że Polska ekipa zdobyła srebrny medal olimpijski, powtarzając tym samym sukces z 1928 roku z Igrzysk w Amsterdamie Michała Woysym-Antoniewicza, Kazimierza Szoslanda i Kazimierza Gzowskiego.



Złoty medal olimpijski Jana Kowalczyka

Złoto albo finał wieńczy dzieło

3 sierpnia, na zakończenie igrzysk, rozgrywany był indywidualny konkurs skoków przez przeszkody. Stutysięczny stadion na Łużnikach był wypełniony do ostatniego widza. Zawodnicy mieli pokonać pierwszy nawrót o długości 730 metrów z trzynastoma przeszkodami w czasie jednej minuty i pięćdziesięciu sekund, a drugi o długości 630 metrów z dziesięcioma przeszkodami w czasie jednej minuty i trzydziestu pięciu sekund. W konkursie wystartowało łącznie 16 jeźdźców z ośmiu krajów. Polskę reprezentowali Kowalczyk, Hartman i Kozicki.

Po pierwszym przejeździe pierwsi z nich znaleźli się w absolutnej czołówce, którą uzupełniło dwóch reprezentantów ZSRR: Nikołaj Korolkow na Espadronie i Wiktor Poganowski na Topko. Cała grupa miała po cztery punkty karne. Dziennikarz „Przeglądu Sportowego” relacjonował: Należy podkreślić wspaniałą publiczność, jaka tego dnia przyszyła na ten piękny konkurs. Każda wzięta bezbłędnie przeszkoda była nagradzana huraganem braw, bez względu na to czy konia dosiadał Meksykanin, Polak czy jeździec radziecki. Jak w dobrze wyreżyserowanym dreszczowcu napięcie trwało do przejazdu ostatniego liczącego się w walce o medale konia.

W drugim przejeździe zawodnicy startowali w odwróconej kolejności. Zaczynali konkurs jeźdźcy mający najwięcej punktów karnych. Kiedy na torze pojawił się Poganowski i zaczął połykać bezbłędnie kolejne przeszkody, zaczęliśmy upatrywać w nim zdecydowanego medalistę. Koń skakał z dużym zapasem i... oto w połowie parcoursu Topko odmówił posłuszeństwa przed drugim członem podwójnej kombinacji. A więc trzy punkty za nieposłuszeństwo konia, a dodatkowe punkty za przekroczenie czasu. Razem 15,5 punktów karnych. Napięcie sięgnęło zenitu gdy na stadionie pojawił się Jan Kowalczyk. Wjechał na parcours jak zawsze w szybkim tempie. Artemor został zatrzymany na środku parcoursu a Polak, jedyny uczestnik w wojskowym mundurze, zsalutował w kierunku jury. Z podziwem patrzymy jak mały Artemor przesadza te wysokości i szerokości, wyrzucając do góry przednie nogi i podkurczając zadnie. Trudno jest odgadnąć skąd się u niego bierze ta fenomenalna skoczność. Pozostają w tyle oxery rozpięte na 2 metry, stacjonaty 180 centymetrowe i tylko po jednym z oxerów chwila zapomnienia się jeźdźca że następna to riviera (rów z wodą) i po zbyt krótkim jak na Artemora rozpędzie jedną nogą

muska wodę. Cztery punkty. Dalej jednak bez momentu zawahania - wszystko na czysto!



Od lewej: dyrektor Sławomir Majcher, Aleksandra Liberacka i Marcin Kowalczyk.

Ostatni wystartował Korolkow, który miał świadomość, że tylko bezbłędny przejazd zagwarantuje mu upragnione złoto. Gdy wydawało się publiczności, że ich faworyt jest blisko celu, Espadron na jednym z okserów strącił drąg. W tej sytuacji reprezentant gospodarzy miał łącznie tyle samo punktów karnych co Kowalczyk ale znacznie gorszy czas przejazdu. Korolkow gwałtownie przyspieszył i choć inne przeszkody pokonał bezbłędnie, to o sześć sekund przekroczył limit. Dawało to 1,5 pkt karnych i srebrny medal. Polscy kibice zostali wprowadzeni w stan euforii. Jan Kowalczyk w ostatnim dniu zawodów zdobywa złoty medal! Spełniło się marzenie wielu pokoleń znakomitych polskich jeźdźców. Po raz pierwszy w bogatej historii tej dyscypliny sportu nasz rodak stanął na najwyższym stopniu podium igrzysk olimpijskich.

Znakomity przedwojenny zawodnik ppłk Karol Rómmel, trzykrotny olimpijczyk i brązowy medalista z Amsterdamu (konkurs WKKW drużynowo), jeszcze w latach sześćdziesiątych przepowiadał Kowalczykowi znakomitą karierę. Mówił, że w czasie swojego długiego życia poznał tysiące jeźdźców, ale zawodnika jeżdżącego z takim wyczuciem konia jak Kowalczyk nigdy wcześniej nie widział...